

# SZTANDAR POLSKI

REDAKCJA I ADMINISTRACJA  
ulica Ochronek Nr. 4.

EKSPEDYCJA  
w Trafice (Hotel Żorża), róg Placu  
Maryackiego i ul. Krętej.

DWUTYGODNIK  
POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNY.

WYCHODZI CO DRUGĄ SOBOTĘ.

PRZEDPŁATA

w miejscu kwartalnie . . . . . 75. ct.  
z przesyłką do domu 85. „  
na prowincji kwartalnie . . . 90. „  
za granicą „ 1 zlr. — „  
Inseraty od wiersza (petit.) 5 ct

Nr. 1.

Lwów, 3. Kwietnia 1880.

Rocznik 2.



## Sp. Jan hr. Działyński.

Ciężki i bolesny grom uderzył w polską wielką rodzinę, w społeczeństwo polskie. Zaiste, za rychło opuścił tę ziemię jeden z najwierniejszych jej synów, który wzięwszy po ojcach w spuściznie miłość ojezyny, ostatni z znakomitego i niezem nieskalanego rodu wytrwał jako dzielny żołnierz do zgonu, dzierżąc z niezem nieugiętą wytrzymałością sztandar narodowy.

Niezbadane są wyroki Boże, ale wielka boleść przejmując sereą bratnie, jeżeli się traci tak wybitnego szermierza w walce o przyszłość polską. Szczególniej w Wielkopolskiej ziemi, gdzie od dziecka patrzano na sp. Jana pozostanie po nim na długo nieutulony żal, a tem więcej zrozumiały, że w nim zgasł ostatni potomek rodu, który od kilku wieków dzielił dobrą i złą dolę z narodem, a nigdy i niezem się nie sprzeniewierzył.

Dzisiaj stanął już ostatni Działyński nie tylko przed sądem Bożym, ale i przed całym szeregiem przodków, składając przed nimi niepokalane sumienie i honor polski.

Jakkolwiek nie mamy przed sobą dat statystycznych, które są ważnymi w nekrologach znakomitych ludzi, to jednak w żywych kolerach maluje nam się żywot zmarłego, albowiem tenże sięga do niedawnej przeszłości. Być może, że niekażdemu z biografów polskich znana będzie młodość i wiosna żywota sp. Jana Działyńskiego, dlatego dzielimy się wszystkimi wspomnieniami, aby pamięć o zmarłym przeszła wyraźniej do potomności.

O ile pamięć nas nie myli, było to około r. 1840, gdy w Poznaniu zaczęto widywać młodzieńca kilkunastoletniego w ciemnej sukmanie wieśniaczego kroju, smągłego, zwinnego, z okiem pełnem młodzieńczego ognia a odznaczającego się nie wymuszoną, szczerą uprzejmością i objawem skromności, którokolwiek się doń zbliżył. Był to młody Jan Działyński, który pod okiem mentora swego dr. Jana Rymarkiewicza, a później profesora przy gimnazjum Maryi Magdaleny w Poznaniu (żołnierza z r. 1831) przygotowywał się do szkół publicznych.

Ojciec, sp. hr. Tytus Działyński, ten granitowy mąż, wielki patriota i żołnierz polski, niedziw że mając syna jedynaka, który go kiedyś miał zastąpić, wiedział i rozumiał jakiego ma dać mu wychowanie. To też magnackie chłopię, przysły dziedzic milionowej fortuny, już niemal od kolebki odbierał inne wychowanie, aniżeli inni jemu równi co do mienia i środków.

Twardy tapczan, pokryty wołokiem, kulbaka zamiast poduszki i bunda do przykrycia

służyły temu chłopięciu za łożo do spoczynku, a i reszta potrzeb fizycznych była do tego zastosowana. Od dziecka był Jan przyzwyczajony, aby nawykł do żołnierskiego żywota i w nim się lubował, a w każdym wypadku codziennego życia sam sobie wystarczył. Dlatego też służba domowa najmniej miała z nim do czynienia, a jeżeli czegoś żądał, musiał prosić jak o łaskę, a służba ta składająca się zwykle ze starych wiarusów, chociaż kochała duszą serdecznego Jasia, pilnowała święcie woli rodziców. Od dziecka również, chociaż troskliwie czuwano nad potrzebami ciała, Jan przyzwyczajony był jedynie do najskromniejszych pokarmów i znowu prawdziwie żołnierskich. Dostyc powiedzieć, że mianowicie latem garść owoców zerwana własną ręką i kawałek chleba stanowiły jego śniadanie, a w innej porze polewka najprostsza lub mleko zastępowały mu kawę i inne narkotyczne, wykwiłne pokarmy.

Natomiast kilkunastoletnie chłopię posiadało już śmiałość chociażby najdziksiego rumaka. Nie było gimnastyka nad niego. Jaś strzelał do celu lub do zwierzyny w kniei jak wytrawny strzelec, który szedł chociażby ze starym wygą o lepsze; bił się na pałasze, jakby ułan polski szwoleżer; robił lancy, że aż się śmiały z radości serca starych wiarusów. Nie było zręczniejszego wioslarza, który jak mewa morską suwał po wzburzonych falach Kórnickiego jeziora, lub rzucił się w nuty wód. Takie to były zabawy i zatrudnienia w wolnych chwilach od nauki magnackiego chłopięcia, a nie było w dobrach rodziny może jednej słomianej strzechy, którejby nie znał i gdzieby ze lżą radości nie witano „Jasia.“ Tak jak ojciec, macierz, tak samo i on jeszcze dziecko a już niósł pomoc braterską i obcierał lży, gdzie tylko tego znalazł potrzebę.

W r. 1845 ujrzelismy go na ławach szkolnych w gimnazjum Maryi Magdaleny, gdzie obok zamożnych potomków szlacheckiego rodu zasiadali i synowie kmieciów lub biednych mieszczan. Koleżka Jaś, jak go po wszechnie nazywano, ubrany jak przedtem w kawową guńkę wieśniaczego kroju, tak się przylepił do sere drużyny szkolnej, że ta pokochała go całą duszą i uczuciem, na jakie się młodzieńczy zapal zdobyć może.

Był to karny i dobry uczeń a dziarski, szczery i poczciwy. W obejściu nie dopatrywał żaden z kolegów, że to syn magnata polskiego, w krótko też zajął wybitne stanowisko pomiędzy młodzieżą i, że tak powiemy, zasiał ziarno prawdziwego patriotyzmu i uczciwości polskiej, których plon wydaje po dziś dzień błogie owoce.

Z ostatniej czterdziestoletniej epoki nie znamy żadnych szkół, w których by się z szeregowal tak dzielny zastęp młodzieży polskiej i tak na w skróś uczeiwej jak ta, któ-

ra się zbierała u kolegi Jana Działyńskiego aż do r. 1848. Niechaj sobie przypomną wszystkie wybitne osobistości, które dzisiaj stoją na czele wielkopolskiej braci, te błogie chwile i wzniosłe wspomnienia, jakie się zrodziły pod dachem ich kochanego druha, „Jasia“, a złożą świadectwo, że tam się ustaliły i rozjaśniły w duszach ich obowiązki wiernej ojczyźnie służby.

Już w tenezas poważni obywatele, patrząc na żywot młodzieńca, błogosławili mu w duchu.

Jan Działyński brał najgorętszy udział w pracach konspiracyjnych przed rokiem 1846, a gdy na wiosnę 1848. zagrzmiała trąbka, wzywająca do boju polskich synów, był jednym z najpierwszych, którzy zapisawszy się do szeregów w „czerwonej sali“, w pałacu ojea w Poznaniu, ujął w rękę lancy i siadł na koń, dążąc do obozu narodowego w Książu, gdzie szwadron dziarskich ułanów, złożony jak jeden z samych zuchów, powstał przeważnie kosztem Działyńskiego.

Po ukończonych bojach złożył świetny egzamin dojrzałości, udał się sam na uniwersytet do Berlina, a gdy odsługiwał obowiązkowy rok w korpusie inżynierji a raczej w oddziale pionjerskim, celował w tymże zdolnościami i brawurą żołnierską. Była to jednak tylko ambicja polskiej krwi, aby pokazać Niemcom, jaki jest polski żołnierz. Podczas jednego z manewrów, gdy w obecności króla rzucano most pontonowy, Jan Działyński kierował jednym oddziałem; zanadto zaufał swej sile fizycznej i tak się nadwreżył, że tę brawurę młodzieńczą opłacił ciężką chorobą, która już wtenczas niemal żywota jego nie skróciła.

Z jego koleżeńkiego żywota, z czasów uniwersytetskich, możnaby zaznaczyć cały szereg najszlachetniejszych czynów, jaki spełniał względem kolegów.

Wiedząc, jakie go czekają na przyszłość obowiązki, zdobywał jaknajwiększy zasób wiedzy i pod tym względem był tak sumienny, że się oddał badaniu najmłodniejszemu ze wszystkich nauk ścisłych.

Czyniąc zadość woli rodziców wszedł następnie w związku małżeńskie z księżną Izabellą Czartoryską, córką Adama. Po zgonie nieodżałowanej pamięci rodzica, hr. Tytusa Działyńskiego, podjął on z religijną czcią wszelkie prace narodowe, jakie mu tenże prócz mienia w spuściznie przekazał. Tak jak ojciec pozostał on wiernym niepokalanym tradycjom katechizmu narodowego, to też, pozostał obcym wszelkim tym stronnictwom, które nie były na wskróś polskie i prostą drogą od Boga do Polski nie dążyły.

Jan Działyński to magnat polski, a jednak demokrata najczystszej wody na zasadach konstytucji 3. maja, której był wiernym do zgonu piastunem. Nie było siły, któraby

460

go zmusiła do odgrywania jakiegokolwiek komedji, bo uważał za przykazanie, że żywot magnata polskiego winien być czysty i jawny i zawsze powinien wychodzić na jaw z duszy, a prawdą świecić we dnie i w nocy, to też czy to dłoń wieśniacza lub niewiedzieć jakiego biedaka, byle prawa, gdy spoczęła w dłoni Jana Działyńskiego, łączył ją z nim żywy prąd prawdziwej miłości bratniej.

Ofiarność jego tak samo wielka jak rodzica nosiła jedynie piętno obowiązku obywatelskiego i nie spoczął na niej ani cień gonienia za chwałą lub wziętością. Przedewszystkiem umiłował rodzinne gniazdo i rodzinną ziemię, a jeżeli zmuszony był udać się do innych krajów, to nie dla własnej rozrywki i używania dla siebie, ale zmuszony do tego zbiegiem twardego losu, prześladowaniem lub wtenczas, gdy mógł cośkolwiek zdobyć na użytek i wzmocnienie sił nieszczęśliwej ojczyzny.

W znacznych dobrach jego mógł się pomieścić jedynie tylko Polak i nie mogło być inaczej, bo śp. rodzice jego, stawiając drugą polską Sybillę, wspaniały zamek w Kórniku, gdzie jest tyle skarbów narodowej sławy nagromadzonych, nie użył do tegoż ani jednej cegielki, ani jednego gwoźdźca, ani żadnej rzeczy, któraby nie była wykonana przez polską rękę. Takie *tabernaculum* polskiego sumienia musiało wpoić niezłomne zasady w spadkobiercę sławnego rodu.

Zbliżał się rok 1863. Jan Działyński ani chwili się nie zawahał, aby duszą i ciałem połączyć się w pracy nad zmartwychwstaniem narodu. Stał do prac przygotowawczych śmiertelnego boju nie tylko czynem, słowem, ale mieniem i tem wszystkim, czem mógł rozporządzać. Był przygotowany na to, aby oddać wszystko, byle tylko spełnić tradycyjny obowiązek obywatelski — wiernego syna ojczyzny.

Jan Działyński mianowany został przez Rząd narodowy głównym komisarzem dla ziemi Wielkopolskiej, który to obowiązek spełniał przy wielkiej ofiarności z odpowiedzialną gorliwością.

Gdy jednak za przybyciem jego do obozu przyszło do walki z wrogiem, Jan Działyński przestał być w tej chwili komisarzem i nie korzystał z praw, jakie urzędnikowi Rządu narodowego przysługiwały, nie udał się w bezpieczne miejsce po za linię bojową, lecz ująwszy w pewną rękę karabin, stanął w pierwszej linii i tam, gdzie było największe

niebezpieczeństwo, w szeregu polskich tyraljerów, a co strzał z jego broni, to trup w szeregach moskiewskich. Pod Ignacem i Pyzdrami mężstwo Jana Działyńskiego nie ustępowało w niczem bohaterskim czynom przodków, jakich ród ten cały szereg liczy. Gdy pod Ignacem mężstwo polskie musiało uleść przewadze fizycznej siły moskiewskiej, dzielny tyraljer ostatni opuszczał pole walki, gromadząc koło siebie resztki zdziśiatkowanych szeregów strzeleckich. Po skończonych bojach był zmuszony udać się na tułactwo, a gdy rząd pruski obłożył sekwestrem cały majątek, widzimy Jana Działyńskiego w Paryżu nie tylko dzielącego się z tułaczą bracią kęsem chleba i groszem, ale podnoszącego ducha i zachęcającego skutecznie do wytrwałości i pracy narodowej.

Nigdy z ust jego nie wyszła skarga ani żal, że sam nadwerzęzył mienie, a co więcej zdrowie. Nie dziwimy się temu wcale, bo Jan Działyński należał do takich ołtarników, którzy zawsze gotowi byli złożyć wszystko na ołtarzu Ojczyzny, chociażby im potem przyszło zarabiać fizyczną pracą na kawał razowego chleba. Rząd pruski wytoczywszy proces o zdradę stanu skazał Jana Działyńskiego zaocznie na śmierć, gdy jednak później stosunki się zmieniły i skazaniec powróciwszy zażądał rewizji procesu, uwolniono go.

Bez straty czasu podjął przez śp. rodzica rozpoczętą pracę wydawnictwa pomnikowych dzieł wiedzy polskiej, mianowicie z dziedziny ścisłych umiejętności, a po za tem, gdzie tylko mógł się stać użytecznym dla dobra narodu polskiego, co tylko było w jego mocy, aby wzmocnić dobrobyt kraju, tam wszędzie był Jan Działyński, tam była myśl i ręka jego, tam się ofiarność zaznaczała.

Miłość jego dla ludu była zawsze jasną i niczem nie osłabioną — w tym kierunku był bez zaprzeczenia magnatem polskim, co upamiętniła ofiara 140 tysięcy talarów dla stworzenia Banku włościańskiego na Wielkopolskiej ziemi.

Od roku 1863. Jan Działyński był już fizycznie złamany a katastrofa, która obecnie nam go zawczasie wydarła z pomiędzy żyjących, przewidywana była od lat kilkunastu. Być może, że inny magnat na jego miejscu usunąłby się był od wszelkich prac i trosk, dbając jedynie o zdrowie. Być może — ale nie Jan Działyński, nie syn Tytusa i Celiny z Zamojskich Działyńskiej. Komu taki

rodzic dał żywot, kto z piersi takiej matki ssał miłość Ojczyzny, ten nie umiał inaczej tylko jak żołnierz prawy i nieugięty zakończyć żywot na wyłomie — w walce narodowej.

Cześć i wiekopomna pamięć znakomitemu obywatelowi i patriocie! Cześć bohaterskiemu żołnierzowi polskiemu!

Wiele serdecznego żalu pozostawiasz Janie po sobie. Kirem żałoby pokryty gród twego rodu, ostatni dzielny Działyński wstąpił do mogiły, którą zleją łzy szczere, bratnie nie tylko wszystkim wielkopolskiej braci, ale i innych dzielnic ziemi polskiej, które się z niemi łączą.

Niechajże śmierć twoja stanie się jednak nową siłą do życia narodowego, niechaj żywot twój cały pozostanie testamentową spuścizną dla żyjących jeszcze braci po duchu i młodego pokolenia. Oby ci wszyscy, którzy stać będą nad twą mogiłą, jeżeli dotąd grzeszyli nie tylko względem Boga ale i Ojczyzny, nawrócili się i zasłużyli na to, aby chociaż tysiączna cząstka takich samych, serdecznych łez i miłości bratniej ich pożegnała, gdy ich Bóg wezwie do siebie!

Kończąc to pośmiertne wspomnienie, nie możemy pominąć najsmutniejszego obrazu, jaki się nam na jawie przedstawia w obec mogiły śp. Jana Działyńskiego, bo w obrazie tym widzimy tę wdowę postać najszlachetniejszej matrony polskiej, której jeden miecz boleści po drugim ugrzeża w sercu. A jest to niewiasta polska, którą wola Boża jakby na to dotąd chowa, aby była pierwowzorem niewieściej enoty polskiej, wielkiego serca i rezygnacji; ta matka rodu szlachetnego zmuszoną jest przeżyć nie tylko wiernego towarzysza żywota ale i syna, ostatniego po mieczu potomka Działyńskich. Po za nią widzimy jej szlachetne córki, z których każda ma prawo z dumą powiedzieć: „Jestem córą Tytusa i Celiny Działyńskich! jestem siostrą Jana“!

Cześć Ci polska matrono, gdy możesz w obec Boga powiedzieć, żeś święcie spełniła obowiązek matki Polki i córki narodu. Ciężki jest ten ostatni krzyż, który przy schyłku żywota spoczął na barkach twoich, ale każdy wie o tem, że z chrześcijańską pokorą dźwigać go będziesz, gdyż taka wola Boża!

J. N. z O. G.

## W MOSKWIE I W ORLEANIE

(szkic do powieści)

napisał

FELIKS KOZUBOWSKI.

(Dokończenie.)

V.

W połowie pierwszej sierpnia, kuryerski pociąg unosił mnie ku żyznym równinom Loizetu

Wiózłem życie dwojga życzliwych mi osób — znalaziony pulares i w nim.... kwitnikzemnego oszusta — bankiera S....

Miałem adres Ernestyny — klasztor sióstr Norbertanek.

W pół godziny po przyjeździe pociągu — dzwoniłem już u furty zakonu.

— Conduisez-moi immédiatement au parloir et, prerenez la supérieure! rzekłem siostrze odzwiernej

— Mais Monsieur!.... si tard.... (była dziesiąta wieczorem).

— C'est pour une affaire ne souffrant pas de retard!

Spienione konie fiakra, ziajały przed bramą — ja sam zaś, ledwie stałem na nogach,

ciągną czterdziesto-ośmiogodzinną jazdą zmęczony.

Wprowadzono mię do czekalni, przedzielonej kratą.

Weszła nareszcie przełożona.

— Kto pan jesteś?.... co to wszystko znaczy?.... mówiła drżąc cała.

— Muszę natychmiast widzieć się z panną Heleną de Malmy.... natychmiast.

— Ależ panie! o takiej porze i bez pozwolenia doktora....

— Doktora?... cóż to, czy cierpiąca?..

Kobiety wiecznej modlitwy, są zwykle, z małymi wyjątkami, oschłe — bez serca.

— Ona jest od dwóch tygodni waryatką! rzekła chłodno już, przychodząc do siebie ksieni.

Miałem odwagę ani drgnąć pod tym ciosem niespodziewanym.

— Każ mi pani do niej prowadzić natychmiast! inaczej — wejdę siłą i przyjmiesz na siebie odpowiedzialność za jakie nieszczęście.

Ruszyła ramionami.

— Kto pan jesteś? brat.... kochanek?..

— Wszystko co pani chcesz.... tylko przedzej.

Zadzwoń! — wydała rozkaz odzwiernej wprowadzenia, mię do pawilonu chorych i

jednocześnie jakiejś drugiej kobiecie, aby uwiadomiła doktora.

Różne schody i korytarze, przebiegłem błyskawicą, niosąc prawie wystraszoną odzwierną.

— Tutaj! rzekła nareszcie żegnając się i wskazując mi drzwi. Ale zaczekaj pan na doktora.

Wyrwałem jej klucze z ręki.... szarpałem zamek. Nareszcie trafiłem na klucz właściwy

W celi było ciemno już.... lecz za otwarciem drzwi, duża lampa gazowa, płonąca wprost nich w korytarzu, oświeciła ją zupełnie.

Zbudzone ze snu dziewczę, przetarło oczy przyzwyczajając je do światła

I nagle, krzyk radości — krzyk przytomnej istoty wyrwał się z jej piersi:

Uczułem rączki jej na mej szyi — łzy i pocałunki na mem licu.

— To ty — to ty, Władysławie!.... widzisz, ja wiedziałam że powrócisz.... ja cię kocham.... kochałam dzieckiem jeszcze.... gdyś był tak dobry dla mnie!.... Ojciec mój wolny.... czekaj zaraz do niego się udamy!... Ale ty mnie kochasz choć trochę Władysławie?... prawda?

— Heleno! szepnąłem. Uspokój się Heleno jutro....

